

Helena Kutuzowa  
**Lady Mglistej Wyspy**

Wiatr marszczył wodną gładź, a żagiel łowił go zazdrośnie, próbując zamknąć w objęcia. Łódź łatwo podporządkowywała się gospodarzowi i ten chciał dotrzeć do przystani zanim zepsuje się pogoda.

- Coś nie tak?

Gard pochwycił zaniepokojone spojrzenie sternika.

- Wiatr słabnie. Oby tylko nie pojawiła się mgła.

- Mgła? Przy takim wietrze?

Gospodarz tylko opędził się od przemądrzałego pasażera.

- A dlaczego jezioro nazywają Mlecznym?

- Dlaczego, dlaczego... Nie daj Boże pojawi się mgła, wtedy zrozumiesz.

Gard uśmiechnął się i wrócił do siostry.

- Kotysze? Wytrzymaj jeszcze trochę. Wiatr jest silny, szybko dopłyniemy.

Żagiel zaklaskał i zwiotczał. Powierzchnia wody wygładziła się, odbijając, niczym w lustrze, cumulusy.

Rybak zakrzętnął się nerwowo, wstawiając ciężkie wiosła w dulki.

- Czego siedzicie? Wiosłujcie, jeśli wam życie miłe!

Gard posłusznie zrzucił płaszcz i usiadł na ławce. To wpisywało się w warunki przejazdu. Dłonie, pokryte odciskami od rękojeści miecza, ułożyły się na wypolerowanym drewnie.

- Wiosłować. Równiej! Nie ociągać się!

Mężczyźni, którzy po raz pierwszy usiedli do wiosł, uczciwie starali się wiosłować w takt, ale efekty były mizerne. Rybak, dostrzegając daleko białawy pas, spanikował.

- Nie ociągajcie się! Wiosłujcie szybciej! No!

Słowa, którymi okraszał rozkazy, przekonywały do nieudawanych zmagania. Na brzegu, Gard już dawno wepchnąłby mu te nieprzyzwoitości z powrotem do gardła, ale teraz, strach rybaka udzielił się pozostałym. Mgła przybliżyła, ślizgając się po wodzie nieważkim woalem.

Mężczyźni naparli na wiosła. Statek mknął do brzegu, ale białawe kłęby, powoli przetaczając się w czarującym tańcu, dogoniły go.

Jasny miraż pożarł słońce. Mgliste strumienie wpełzły na pokład, zgęstniały i wkrótce nie można było rozróżnić twarzy, tylko ciemne zarysy, które zbiły się w gromadę, oczekując na kolejny atak.

I ten nastąpił - przez niezliczone warstwy mgły przebiło się światło. Żółte i ciepłe, jak płomień świecy, ale w nim nie było dynamiki właściwej dla ognia.

Zbliżało się. Rybak, kryjąc się pod ławą, szeptał modlitwy. Gard zasłonił sobą siostrę i położył rękę na pasie, w pobliżu szerokiego noża z wytartą rękojeścią.

Ognik podpłynął bliżej. Tuż za nim, z mgły, wyłoniło się czółno. Światło przesączało się przez żółte szkło lampy, która wisiała na wysokim, pałkowatym dziobie. Starczało go zaledwie na tyle, by dostrzec postać otuloną płaszczem.

- Co mi oddasz, rybaku?

Z głosu, zniekształconego przez wodę i mgłę, nie można było wywnioskować do kogo należy - do mężczyzny, czy kobiety. Ale rybak dobrze to wiedział.

- Zaraz, zaraz... Proszę chwilę poczekać, pani.

Opanował się, wylaź spod ławki, długo grzebał w stercie tobołów na dziobie statku. Cały czas ta, którą rybak nazwał panią, stała, opierając się na wiosło. Nie poruszyła się nawet wtedy, gdy ten wyciągnął drewnianą klatkę i przeniósł bliżej jedyne źródło światła.

W klatce, bez życia, zwiesiwszy głowę między prętami, leżała pstra kura. Rybak poszturczał ją, mając nadzieję, że ptak po prostu zdrętwiał.

- Chwileczkę, moment...

Ale, ile by nie potrząsł pstrą grudką, cud się nie wydarzył. Kiedy nadzieja rozruszania kury uleciała, kobieta znów spytała:

- Co mi oddasz, rybaku?

Nieborak zajęczał. Bezradnie popatrzył na pasażerów i zakomunikował ochrypłym nagle głosem:

- Jeden z was musi pójść z nią.

Napięcie zawrzało, niczym rzeka gotowa przerwać śluzy i buszującym potokiem wyrwało się na zewnątrz:

- Dlaczego? Kim ona jest, że powinniśmy iść z nią?

Rybak, którym mężczyźni potrząsali jak drzewem owocowym w porze dojrzewania płodów, próbował wyjaśnić:

- Mglista Lady zawsze zabiera życie. Jedni wożą ze sobą kurę, inni kotkę lub psa. Inaczej, zabierze człowieka. Dlatego ktoś powinien pójść z nią.

- Więc idź z nią! - rybaka popchnięto w kierunku burty.

- Nie mogę! - mężczyzna rozpaczliwie wczepił się w mokre od mgły i bryzg deski. - Mam starą żonę, dzieci...

- A my? Myślisz, że nie mamy?

- Może i macie. Ale to jest moja łódź i wątpię, czy ktoś z was dobrze zna wody Mlecznego Jeziora, by doprowadzić ją bezpiecznie do brzegu?

Paniczny skowyt rybaka ostudził mężczyzn. Gniew się uśmierzył, zostawiając strach i zakłopotanie.

- A co będzie, jeśli ta Lady nie otrzyma tego, czego żąda?

- Wtedy wszyscy odpłyniemy w mgłę, żeby wiecznie tułać się w mlecznej ułudzie.

Cisza stała się namacalna i gęsta, jak dobowy śmietanka i cichy głos Mglistej Lady zabrzmiał spiżem:

- Co mi oddasz, rybaku?

Gard popatrzył na siostrę. Ta konwulsyjnie tuliła w swój płaszcz córeczkę, starając się uchronić ją nie tyle od wilgoci, ile od lepkiego przerażenia przesycającego powietrze. Na brzegu, który nagle stał się dla nich taki daleki, czekał mąż.

Rybak... On ma rację. Bez niego, nikt nie dotrze do brzegu.

Pozostali mało go interesowali - ratować świata nie zamierzał. Ale śmiech małej siostrzenicy, która ciągnęła do niego rączyzny i zapalczywy blask w oczach swojej młodszej siostry, musi zachować za wszelką cenę.

- Weźmiesz mnie! Pójdę z tobą, dostojna pani!

- Gard!

Siostra wczepiła się w rękaw, ale Gard z uśmiechem odsunął ją od siebie i zwrócił się do rybaka:

- Przekaż ją osobiście do rąk męża. Jeśli oszukasz - wrócę z mgły i ona wyda ci się pożądaną częścią twego życia.

- Oczywiście, panie.

Gard objął na pożegnanie siostrę, chwycił niepotrzebny płaszcz i wyskoczył za burtę, prosto do czółna.

Mała łódka nawet się nie zachwiała, jakby stała nie na wodzie, a na brzegu. Mglista Lady bez słowa wskazała na dziób i Gard posłusznie usiadł na jasnej desce.

Machnięcie wiosła i rybacki statek skrył się we mgle. Ale czółna, zasłona nie dotyczyła. Mgła unosiła się opodal, jakby bojąc się niepokoić gospodynię i tylko lekkim jedwabiem związała się nad samą wodą w zawile desenie, unikając kapaniny spadającej z wiosła.

Gard obserwował otuloną w ciemny płaszcz kobietę, od której zależał teraz jego los i nie decydował się na rozmowę, póki milczenie nie stało się zbyt uciążliwe.

- Pani moja, proszę mi pozwolić na wiosłowanie, które nie przystoi kobiecie...

Odpowiedź była ledwie słyszalna, niczym plusk fali o burtę albo szelest wiatru nad wodą:

- Nie poradzisz.

Gardowi nie pozostało nic innego, tylko siedzieć i obserwować mglisty teatr cieni.

Ukołysany płynnym ruchem zaczął drzemać i nie rozróżniał, czy ten milczący taniec jest jeszcze jawą, czy już granicą snu...

Z odrętwienia wyprowadziła towarzyszka: położyła wiosło i przysiadła na ławce, naprzeciw. Czółno, niesione prądem, poruszało się samo.

Kobieta nadal nie zdjęła kaptura i Gard nie mógł określić, gdzie patrzy - na niego, czy tam, gdzie kłaczki mgły poddały się rozbójnikowi-wiatrowi, otwierając widok na skarb Mlecznego Jeziora - Wyspę Mglistej Lady.

Kamienisty brzeg płynnie podnosił się, przechodząc w podnóże wysokiej góry. Jej zbocza przecinało mnóstwo strumieni, od których szemrania zrobiło się nieprzyjemnie i słodko.

- Płacząca góra.

Mglista Lady opuściła w wodę wiosło i skierowała łódź do ujścia rzeki. Podporządkowując się woli gospodyni, czółno ruszyło przeciw jej biegowi. Woda spieniła się dookoła stewy dziobowej, zaszemrała, wlewając nowe nuty w melodię górskich strumieni.

Wysokie jodły, niczym mroczni stróże, ustawiły się wzdłuż brzegu. Wierzby kąpały gałęzie w dźwięcznych potokach. Liście osik drżały na wietrze, ale było coś nienaturalnego, niezrozumiałego w tej wspaniałości. Dziwne, lekkie dzwonienie słyszało się zewsząd.

- Co to za dźwięk?

Mglista Lady nie odpowiedziała. Nawet tu nie zdjęła kaptura, ukrywając twarz.

- Jak tu cicho. Ptaki nie śpiewają. Zawsze tu tak jest?

- Zawsze - westchnienie wiatru, szmer trawy, ale nie ludzki głos przyniósł odpowiedź. - Na tej wyspie nie ma życia. Niestety i ty nie przeżyjesz długo.

Gard drgnął. Podejrzał, że nie idzie na ucztę, ale żeby tak, wprost...

Szerokim zakolem rzeka okrążyła górę. Ukazujący się oczom widok zapierał dech: z przodu rozsypywał się na miliony tęczyowych kropli wodospad, a nad nim, wzbijał się do nieba wysoka wieża zamek.

Łódź skręciła do brzegu, wbiła się w olśniewająco biały piasek. Gard wyskoczył pierwszy, podał rękę.

Lady z gracją wyszła z łodzi i, nie wypuszczając ręki, poprowadziła go za sobą.

Las zwartą ścianą stał wzdłuż ścieżki, wyłożonej białymi płytami. Drzewa splotły gałęzie w szmaragdowo-przezroczysty łuk. Słońce przebijało się przez liście, dodając zielonemu korytarzowi przytulności.

Ale pod drzewami nie rosła trawa. Mech nie okrywał popękanych płyt. Tylko, to tu, to tam, widniały kępki kwitnących konwalii.

- Kwitną o tej porze?

Zdziwiony, nachylił się by je zerwać. Cienka łodyga chrzęstnęła w palcach. Jęknął zszokowany:

- Jaki jubiler stworzył takie cudo?

Perły, emalia i cienka, srebrna siateczka. Kwiat okazał się tworem ludzkich rąk. Przypatrzwszy się dokładnie, zdumiał się: dookoła nie rosła ani jedna prawdziwa roślina. Drzewa, krzewy, kwiaty... Wszystko składało się z drogocennych kamieni, złota i srebra. Jednak liście drżały na wietrze, a gałęzie gięły się, jak żywe.

- Niestety. Rośliny też nie przeżywają w tym miejscu. Wszystko, co tu widzisz, jest tylko żalonym podobieństwem.

Z głosu, dźwięczącego spod kaptura, wiał smutek:

- Nie traćmy czasu na drobiazgi. Mamy go zbyt mało!

Poprowadziła Garda ścieżką wiodącą do zamku.

Okazał się znacznie mniejszy, niż widziany znad rzeki. Ale za to wieża... Wydawało się, że przebija obłoki, starając się wbić w niebo.

- Mistrzostwo waszego budowniczego nie ustępuje sztuce jubilera! Kto stworzył ten cud?

- Wieczność, mój przyjacielu. Ta wieża stoi tu od początku czasów i stać będzie, dopóki gwiazdy nie osypią się ziarnkami z niebios czasu. Ale, ruszajmy dalej – musisz odpocząć po podróży.

Nie protestował. Dziwna towarzyszka nie budziła strachu, tylko ciekawość. Sądząc po głosie - młoda, a smutek zupełnie nie do twarzy dziewczętom.

Ciężkie skrzydła otworzyły się bez skrzywienia. Gard zatrzymał się, podziwiając wnętrze. Migoczące ściany, oplecione, jak bluszczem, srebrnym drutem, przechodziły w pochyłe sklepienie, gubiąc się na wysokości znajdującej się poza zasięgiem wzroku. Otwarte drzwi ukazywały niekończącą się amfiladę pokoi, równie wielkich i wspaniałych. Wewnątrz, zamek okazał się znacznie większy niż na zewnątrz.

- Tu wszystko nie jest takie, jakim się wydaje. Tędy!

Posłusznie ruszył za Mglistą Lady, kręcąc głową. Takiej kumulacji przepychu i wytworności nigdzie nie spotykał. Droгоценne kamienie harmonijnie wtapiały się w desenie rzeźbionych ścian, zawijasy przechodziły w linie proste, zastygając w zawiłym tańcu.

- To są twoje pokoje.

Stali przed prostymi drzwiami. Mglista Lady pchnęła skrzydło:

Wielka sala, z kryształową czaszą zamiast podłogi. Po przezroczystym wyłobieniu, żałośnie dzwoniąc, do basenu wpadał cienki strumyk wody.

- Zmyj z siebie kurz i zmęczenie, a potem przyjdź do refektarza.

Zanim zdążył zapytać, jak odnajdzie drogę w niezliczonych galeriach, drzwi zamknęły się.

Woda okazała się na tyle gorącą, by rozluźniły się napięte mięśnie. W małych okręcikach, które kołysały się na powierzchni tu i tam, było wszystko, co niezbędne: różne gatunki mydła, włochate gąbki, olejki i balsamy. Miękki, lniany ręcznik czekał na ławeczce przy wejściu. Tam też znalazł komplet odzieży. Jedwab i aksamit, miękka bawełna i cienki batyst...

Wyszedł z basenu. Galeria, ozdobiona obrazami i wymyślnymi kandelabrami, znikła. Stał teraz w wielkiej, ale przytulnej sypialni.

Ściany pokryte gobelinami. Ciężkie portiery nie przepuszczają gorącego południowego słońca w chłodnawy półmrok pokoju. Nieduży kominek, miękki fotel i - ogromne łóżko pod baldachimem. Obok - duże lustro. Zdumiała go przejrzystość szkła. Mistrz wyrobów lustrzanych w niczym nie ustępował budowniczemu i jubilerowi.

Na niewielkiej toalecie znalazł grzebień i nożyce. Doprowadził się do porządku i podszedł do drzwi. Ciekawość okazała się silniejsza od niepewności.

Tym razem trafił do wielkiej sali. Wyszedł na środek i stanął niezdecydowany - prowadziło z niej mnóstwo drzwi. Ale nie musiał się długo zastanawiać - wąskie skrzydła z połączanego drewna otworzyły się same.

Rolę refektarza pełniła ogromna sala, oblicowana marmurem w kremowym kolorze. W centrum, przy wielkim stole mogła zasiąść cała armia gości, ale na śnieżnobiałym obrusie stały tylko dwa nakrycia. Między nimi czekał poczęstunek.

Nagle, drzwi otworzyły się na oścież. Drgnął, przygotowując się na niespodziankę. W wysokim przejściu stała szczuplutka dziewczyna. Jej skromna, czarna odzież, ostro kontrastowała z otaczającym przepychem.

- Pani?

- Nazywaj mnie Lady. Tak, jak inni...

Zdradził ją głos - wciąż ten sam, cichy i pełen smutku. Gard poczuł się nieswojo – jakie przeżycie spowodowało, że w tak młodym wieku, wyczuwa się w nim tyle tęsknoty? I oczy - ogromne, jak jeziora, w których widać opadłe, ciemniejące na dnie listowie. Przy tym, takie błyszczące, niczym pełne łez.

- Pozwoli pani?

Podał ramię, odprowadzając Lady do honorowego miejsca przy stole. Odsunął krzesło. Przyjęła obojętnie przejaw uprzejmości, ale to go nie zniechęciło – z niewiadomych powodów, chciał zobaczyć jej uśmiech.

- Pani wyspa nie przestaje mnie zadziwiać! Najpierw, cudowne drzewa, potem - zamek. W sypialni zobaczyłem cudowne lustro - ani jednej skazy. A teraz, jestem pełen podziwu dla kucharza. Mogę przekazać mu swoje uznanie?

- Oczywiście. Miło mi, że oceniłeś wysoko moje skromne, kulinarne talenty.

Zakrzuszył się.

- Pani... sama to wszystko przyrządziła?

Wzruszyła ramionami i położyła sobie na talerz winogrona.

- A ktośby inny? Nie ma tu nikogo, oprócz nas. Boję się tylko, że potrwa to niedługo i znów zostanę sama.

Po takich słowach, Gard stracił chęć do rozmowy, ale Lady, jakby nigdy nic, mówiła dalej:

- Być może krótko, ale jakiś czas spędzimy razem. Dlatego proszę, odrzuć uprzejmości, bo nie jesteśmy na królewskim dworze. Opowiedz raczej o swoich przyzwyczajeniach i upodobaniach odnośnie odzieży i jedzenia. Postaram się, żeby twój pobyt tu, był komfortowy.

- O, nie jestem wybredny! Dziękuję.

Odłożyła widelec i nachyliła się w stronę Garda:

- Przyjacielu, wydaje się, że jeszcze nie zrozumiałeś - na tej wyspie jest bardzo nudno! Do tego stopnia, że staje się to nie do wytrzymania i dlatego chwytam się każdej możliwości, by urozmaicić swoje życie i chociaż trochę go ubarwić...

- Czyli - jestem jedną z takich możliwości? Twoją rozrywką, moja Lady?

- Bezsprzecznie. Niestety, poza mną, nikt na tej wyspie nie przeżywa - ani ludzie, ani zwierzęta, ani ptaki. Ludzie trzymają się najdłużej, ale dają wybór rybakom, by sami wybierali, kogo oddadzą za prawo łowienia ryb w moim jeziorze. Najczęściej, przywożą mi ptaki. Kury. Zabawne istoty, ale, niestety - żyją niezwykle krótko.

- A ile wytrzymują ludzie?

- Nie liczę czasu. Ale, nie rozmawiamy o smutnym. Mam nadzieję, że zrozumiałeś: Troska o ciebie jest też rozrywką. Dlatego nie krępuj się i zasypuj mnie prośbami.

Dni płynęły monotennie. Na początku Gard nie nudził się - rozległa wyspa miała wiele interesujących miejsc. Bardzo szybko przekonał się, że Lady mówiła prawdę - oprócz nich, nie było tu nikogo. Nawet komary nie brzęczały nocą.

Wkrótce, zapragnął odnaleźć chociaż drobną, żywą istotkę. Obszedł całą wyspą i upewnił się, że drzewa, krzewy i trawa są nieprawdopodobnym tworem utalentowanego jubilera. Prawdziwi byli tu tylko on i Lady, a także zamek, kamienie i strumień, w którym nie pluskała ani jedna ryba. Nie było ich także w przybrzeżnych wodach - musiał korzystać z czółna. Mimo prób, nigdy nie udawało mu się dopłynąć do mglistej ściany, która majaczyła w oddali, bo łódź zawsze zawracała w stronę wyspy.

Codziennie rozmowy z Lady, stały się jedyną, prawdziwą rozrywką. Dziewczyna okazała się niezwykle interesującą osobą. Niektóre jej opinie wydawały się nie do przyjęcia, ale, po rozważeniu, okazywały się trafne. Tylko do jednego nie mógł się przyzwyczaić - do obojętności. Wydawało się, że Lady zakazała sobie cieszenia się życiem, przywiązywania do kogoś, lubienia... Nie potrafił dociec przyczyny.

Lady coraz częściej towarzyszyła Gardowi w spacerach. Wydawało się, że zna historię każdego kamyka, każdego ziarenka piasku, jakby była przy ich tworzeniu. Pewnego dnia, przyprowadził ją w interesujące go miejsce.

- Czy wiesz Lady, co tu się wydarzyło? Te drzewa, jakby celowo zostały złamane.

- Kiedy wściekłość i własna niemoc zaćmiewają rozum, niszczy się wszystko, co trafi pod rękę. Tego dnia umarł mój pierwszy wychowanek - kociak i nie mogłam opanować rozpacz.

Nie dowierzając, znów obejrzał połamane drzewa. Brzegi rozbitego szkła zdążyły się wygładzić pod działaniem wiatru i deszczu, srebro ściemniało, rozsypanie szmaragdy i rubiny wymieszały się w potokach odtajalej wody...

- Ale... Sądząc ze wszystkiego, od tego czasu minęło niemało lat...

- Nie liczę lat, mój przyjacielu i nie liczę tych, którzy mnie opuścili. Imienia drugiego wychowanka już nie pamiętam. Kto to był? - zamyśliła się. - Szczenię? Czy także kociak? Nie, nie pamiętam. Ale chodźmy stąd, bo to niemiłe dla mnie miejsce. Chociaż, nie przywracam mu pierwotnego wyglądu, bo nie chcę wymazać go bezpowrotnie z pamięci.

Jeszcze jedna tajemnica Lady. Z wyglądu ma nie więcej niż osiemnaście lat. Zawsze smutna i odziana tylko w czerń. Jakby nosiła żałobę. Gard, już prawie przyzwyczajony do niej, speszył się - nie zamierzał obudzić smutnych wspomnień. W powrotnej drodze, widząc kamień niezwyklej formy, zauważył:

- Obok dobrze wyglądały by fiołki.

Nie odpowiedziała. W zamku nie odeszła, zostawiając Garda samego, ale kazała iść za sobą.

Pokój zadziwił. Stoły zastawione szkatułkami. W otwartych - rubiny, szmaragdy... Co leżało w zamkniętych, można było tylko się domyślać. Wiele było zabezpieczonych malutkimi zamkami.

Stosy pereł między złotym i srebrnym drutem. Kawałeczki kolorowego szkła...

- Fiołek... Jaki odcień powinny mieć płatki?

Musiał chwilę poszperać, by znaleźć w stercie szafirów odpowiedni kamień. Lady skinęła głową i ustawiła się przy stole, zawiązując znoszony fartuch. Przysunęła narzędzia.

- Jak to... Pani?

- Przecież mówiłam - bardzo tu nudno. Oczywiście, kamienie - zła zamiana żywych kwiatów, ale chociaż coś...

Wynikło z tego wspólne zajęcie. Gard szkicował projekt i, jeśli Lady podobał się jego pomysł, znajdował potrzebne kamienie i obserwował, jak myśl się ucieleśnia. A potem, szukali, gdzie lepiej „przyjmie się” kępka anemonów albo zakwitną margaretki. Lady preferowała konwalie.

- Doskonały kwiat. Uczta dla oczu. Ale lubię go za to, że daje lekkie odejście.

Mówiła o śmierci z taką lekkością! Gard nie potrafił tego zaakceptować. Z każdym dniem, coraz bardziej pragnął rozgrzać zlodowaciałe serce, zobaczyć w oczach promyki uśmiechu. Ale jak to zrobić - nie wiedział.

Lady nie okazywała najmniejszych przejawów sympatii. Opiekowała się nim, spełniała najgłupsze zachcianki, ale nie pozwalała na poufałość. Co skrywa Lady Mglistego Jeziora - nie potrafił odgadnąć.

Pomimo, że starała się spędzać z nim jak najwięcej czasu, nie narzekał na brak wolności. Wieczorami, po męczącym spacerze, uciekał przed samotnością do biblioteki, niekiedy przesiadując tam do świtu. W ciszy, której nie zakłócały szmery wypełniające zwyczajną noc, każdy dźwięk słyszy się aż nazbyt wyraźnie. Kroki, za uchylonymi drzwiami, odbiły się w uszach wielokrotnym echem.

Wyjrawszy, zobaczył tylko kraj ciemnego trenu - Lady dokądś szła w godzinie przedświt. Pokusa, by odkryć chociaż jedną jej tajemnicę, okazała się silniejsza od ostrożności. Starał się nie zdradzić swojej obecności, skradał się, jak myśliwy podkrada się do czujnego ptaka. Ale, obróciwszy się kolejny raz, nie zobaczył Lady. Korytarz kończył się ślepym zaułkiem, więc nigdzie nie mogła skręcić.

Myśl, że Lady mogła przemienić się w mgłę, nawet nie przyszła mu do głowy. Obejrzał ściany, zajrzał za gobeliny. Jeden ukrywał drzwiczki – wąskie, bardzo niskie i ciężkie na pierwszy rzut oka - kamień nie może być lekki.

Rozzłościł się i uderzył w nie pięścią. Poddały się. Lady nie zabezpieczyła od wewnątrz, bo nie przypuszczała, że jej sekret ktoś zechce odgadnąć.

Wąskie, kamienne schody wewnątrz ściany. Ani okien, ani pochodni, ani nawet świeczki, ale światło zalewało szare stopnie. Skąd? Wiedząc, że rozwiązanie zagadki znajduje się na ich końcu, ruszył do góry.

Wchodzenie ciągnęło się w nieskończoność. Nogi mdlały, oddech stał się nierówny i brakowało powietrza. Domyślił gdzie się znajduje - w wieży. Tylko, że już czas znaleźć się na szczycie, a końca schodów nie widać. „Tu wszystko nie takie, jakim się wydaje”. Czarodziejski zamek znów zagrał mu na nosie.

Ale cofać się już za późno. Zebrawszy resztki sił, dobrnął do końca.

Mały pokój, z jedynym oknem. Do niego, wraz z pierwszymi promieniami słońca wdzierają się ptaki. Niekończący się potok. Gołębie i jaskółki, czyżyki, szpaki... Nieznane ptaszki o jaskrawym upierzeniu. Z krzykiem, rozdzierającym duszę, rzucają się do wąskiego lustra wysokości człowieka i znikają w jego głębi. Obok, uważnie obserwując, zastygła Lady Mglatego Jeziora.

Gard podszedł bliżej, by zobaczyć - dokąd znikają ptaki. I odskoczył. Tam, w lustrze, odbijali się ludzie. Mężczyźni i kobiety. Starcy. Dzieci.

- Dla ciebie za wcześnie!

Lady pochwyciła szarego ptaszka i odrzuciła z powrotem do okna. W lustrze mignęła dziewczyna. Prawie dziecko.

Szpak zatrzymał się na moment i upuścił coś na podłogę. Lady pochyliła się, podniosła gałązkę konwalii i uśmiechnęła się do starszej kobiety:

- Pamiętam ciebie. Śpij spokojnie!

Ludzie-ptaki pędzili, śpiesząc się, by zdążyć przed świtem. Gdy tylko krawędź słońca oderwała się od horyzontu, Lady narzuciła na lustro przykrycie. Ptaki miotnęły się, rozwiewając w powietrzu.

- Wieczorem. Przylatujcie wieczorem, wypuszczę wszystkich.

Głos, który wchłonął w siebie całą boleść pozostających przy życiu. Zmęczenie od strat. Gard pojął wszystko. Podszedł, objął pochylone plecy:

- Nie wiem, czy można ciebie kochać. Ale, kto tego zabroni?

Nie odpowiedziała, tylko wtuliła się w jego ramię, pozwalając na chwilę przejąć część swego ciężaru.

Na schodach musieli mocno się przytulić, by iść obok siebie. Wyprowadził Lady na zewnątrz, by zaczerpnęła świeżego powietrza. Widząc, jak mruży oczy od jaskrawego słońca, poprzysiągł sobie, że przeżyje. Nie pozwoli tęsknocie wypalić duszę. Dla niej. Żeby nie została znów sama na tej przeklętej wyspie, pozbawionej życia.

- Gard.

Po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu, a w głosie odbijało się nieskończone zdziwienie:

- To ty przyniosłeś go tu?

Między kamiennymi płytami przebił się kietek. Długie, ząbkowane listki i pąk na wysokiej łodydze. Żółte włoski już przebijały się na zewnątrz, gotowe wybuchnąć słonecznymi bryzgami.

- Nie.

Zbiegła po schodkach.

- Żywy. Żywy! Prawdziwy!

Stał na ganku i obserwował, jak Śmierć cieszy się życiem.

*Przekład: Tadeusz Rubnikowicz*